



MALY SWIATEK

CZASOPISMO
ILLUSTROWANE DLA DZIECI I MŁODZIEŻY
wychodzi 1., 10. i 20. w miesiącu.

Przedpłata wynosi: w kraju rocznie 4 złr., półrocznie 2 złr., kwartalnie 1 złr. Z przesyłką kwartalnie o 15 ct. drożej. W Ks. Poznańskim 8 mr., kwartalnie 2 mr. Skład główny w księgarni J. Leitgeb'a i Sp. w Poznaniu, ul. Wilhelmowska. Adres Redakcyi: Lwów, pl. Maryaeki l. 10. Adres Administracyi: Lwów, Rynek l. 39. sklep p. Heleny Jaworskiej.

POBITWIE.

(10. czerwca 1794 r.)

— Obywatelu i mój Generale!
Doszedł mnie list twój, przez pana Koryznę
Na obozowym gdzieś pisany wale,
Że syn mój miły poległ za ojczyznę.
List twój z pod Chełma, dziesiątego daty,
Pieczętowany przy huku armaty.

W dwojakim względzie wiadomość tę biorę,
Którym sierotą zostałem i tułaczem:
Oczy się moje zamierzchłe i chore
Zrosiły zrazu rześzystych łez płaczem,
A potem — z dumą wzniosłem czoło stare,
Żem dał ojczyźnie tak drogą ofiarę!

Więc chociaż — rodzic — przebitą mam duszę,
Choć dni moje powlokły się cieniem,
— Polak i żołnierz — unosić się muszę
Mężką zazdrością mężkiem uwielbieniem,
Jakie dziś całą porusza krainą
Dla bohaterów — za wolność co giną!

Tak, gdy mi doła uciekła z pod strzechy,
Gdym niezgojoną w pierś starą wziął bliznę,
Nie sarkam; bowiem dożyłem pociechy,
Że syn mój miły poległ za ojczyznę!
Żem krwią krwi mojej i kością mej kości
Obywatelskie spłacił powinności.

I ja żołnierzem byłem w młode lata,
I jam niósł w boje za wolność me życie.
Wiem, jak redutę dym z harmat obłata,
Jak świszczą kule, jak grzmi działobicie.
I krew mi dotąd gra w uwiedłych żyłach,
Gdy wspomnę szaniec w błyskaniach i w pyłach.

Potomne czasy zazdrościć nam będą,
Że jednej z wami żyliśmy godziny.
W zimowy wieczór rodacy zasięda,
By opowiadać i wasze czcic czyny.
Męczeńskiej chwały obrazy wy żywe!
Obywatele tej ziemi prawdziwe!

Często ja teraz u drogiej mogiły
Stawać tam będę myślami smętnemi:
I rzekę prochom: O, synu mój miły,
Pierwej niż moim — tejs synem był ziemi,
A oto wzięłeś w młodzieńcze twe rano
Dolę — przez wszystkich pocziwych żadaną!

Już ja spokojnie, bez łez i bez sromu,
Wyglądać będę rychłego mi końca
Bo z rodu mego, z imienia i z domu,
Wyszedł wolności żołnierz i obrońca.
A gdy mi szablę uczynił czas rdzawą,
Na syna zdałem — za kraj poledz — prawo!

Hej, gdzie te lata!... Wyzuty dziś z domu
Starzec, na progu wiecznego pokoju,
Nie zazdrościłem niczego nikomu,
Prócz jednej śmierci w narodowym boju!
A oto Bóg mi wyrównał te szale,
Obywatelu i mój generale!

Piszesz, że syn mój w pierś z kuli miał ranę
I poległ sztandar wznoszący ku niebu...
O moje dziecko najmilsze, kochane,
Takżeś pięknego doczekał pogrzebu!
Takie ci „requiem“ granaty tam grały!
Tak cię całunem owinął dym biały!...

O, gdybym raz choć umarłą twą głowę
Mógł ucałować ustami drżącemi —
Dałbym dni moich ostatka — połowę,
I łzami zmyłbym, gdzieś padł, krew twą z ziemi...
Nie z żalu! — Czegoż żałować ojczyźnie?
Lecz z chluby, którąś mojej dał siwiźnie!

O, wy rycerze, którzy dziś walczyacie,
By Polskę miłą wyrwać z mocy wroga.
Za wasze rany i za wasze życie,
Piękną wam sławę da ziemia ta droga!
Imię się wasze na wieki uświęci,
W narodowego kościoła pamięci.

A teraz, gdy mi już dogasa słońce,
I pień już jestem na poły spruchniały,
Przyjmcie, rycerze, me chęci gorące,
Dla waszych bojów i zwycięstw i chwały!
I chciej darować starcowi te żale,
Obywatelu i mój generale!

Z zamierzczłym wzrokiem u spodu tej karty
Kładę mój podpis palcami drżącemi:
Tysiąc siedemset dziewięćdziesiąt czwarty
Rok — śmierci syna — i wskrzeszenia ziemi
Polskiej. — A jakiś świt mi złoci zgłoski,
Bowiem jest wielki rok — rok Kościuszkowski.*)

Marya Konopnicka.

*) Była to w pamiętnym roku powstania Kościuszkowskiego.
Stanisław Kostka Chomętowski, na wpołociemniały starzec, napa-
dnięty w swoim majątku przez Moskali, uszedł do Galicji i tu
spotkał go nowy cios, bo generał Zajęczek doniósł mu o śmierci
syna, który poległ dnia 10. czerwca 1794 r. w bitwie pod Chel-
mem. Na wieść tę starzec nie popadł w rozpacz, bo kochał go-
rąco ojczyznę i żadna dla niej ofiara nie była mu za wielką; więc
mimo głębokiego bólu, odpowiedział generałowi, że dumny jest,
iż syn jego oddał życie za ojczyznę.



Tadeusz Bezimienny

ustęp z powieści Józefa Korzeniowskiego.

[Ciąg dalszy].

Reformat rozwiązał swój worek i zaczął
pomaleńku i pojedynczo wydobywać zapasy.
Najprzód dobył garnuszek z masłem, czystą
szmatką zawiązany, dał go chłopcu, aby nitkę
rozwiązał. Tadeuszek usiadł na ziemi, aby

lepiej dopełnić tego ważnego polecenia, a gdy
podniósł oczy, spostrzegł w ręku mnicha bu-
łeczkę pszenną, z wierzchu rumianą, ze spodu
białą i mączną, słowem taką, jakie po dwor-
kach na Podolu i Wołyniu dla państwa pieką.

— A widzisz, figlarzu! — rzekł do Ta-
deuszka, który ośmielony jego wejrzeniem już
do bułeczki rękę wyciągał. — Na, to dla cie-
bie. Nasmaruj sobie masłem i pożywaj ten
dar dobrych ludzi.

Tadeuszek wziął i zaczął zajadać, krając
bułkę i delikatnie smarując ją masłem, a Re-
format, wsadziwszy znowu rękę do worka,
wydobył z niej coś obwiniętego w papier, co
strasznie do kury pieczonej było podobnem.
Powąchawszy, rzekł sam do siebie:

— Oho, reverendissime! nie wszystko
razem, to przyda się na obiad, jeżeli go gdzie
nie dadzą — i włożywszy nazad do worka,
wydobył z niego inne zawiniątko, które z pod-
ługowatej swej formy, liczbę 8 przypomina-
jącej, miało minę kiełbasy tak złożonej, papie-
rem owiniętej i sznurkiem ciasno okręconej.
— Vade retro! — rzekł znowu i powąchaw-
szy, schował. — To będzie do poduszki, je-
żeli gdzie wczery nie dadzą. — Nareszcie
wyszedł na jaw spory kawałek szynki, którego
właściwie szukał. Rozwinął go brat Leon, bo
tak się ów braciszek nazywał, ukroił sobie
dobrą porcję, dał spory kawałek Tadeuszkowi,
smarował chleb masłem i przekładając go
plasterkami szynki, tak spożywał. Gdy się
dobrze posilili, znowu wszystko systematy-
cznie poobwiązywał i poukładał w tej prze-
nośnej spiżarni, w której było wiele rozmaitych
zapasów, a na samym dniu pasek biały od
wielkiego święta, a pod nim dopiero brewiarz.

Tak poznawszy się dobrze i pokrzepi-
wszy utrudzone siły, ruszyli w imię Boże
w dalszą drogę. Brat Leon wracał z nad Dnie-
stru, gdzie miał do spełnienia klasztorne ja-
kieś polecenie. Po drodze zachodził to do
dworu, to do klasztoru, to na probostwo
i wszędzie mu coś do worka przybywało.
Zresztą był to człowiek uczciwy, wesóły, u-
służny dla bliźnich, z dobrą głową.

Trzymając się za rękę brata Leona, który
często spiżarnię swoją rozwiązywał, przeszedł
Tadeuszek z wolna całe Podole, wyminał Win-
nicę i Lityn, ale widział Latyczów, Prosku-
rów, Międzyborz; wstępował do kilku kla-
sztorów, był nie w jednym probostwie, noco-
wał w kilku dworach, a wszędzie worek za-
konnika napełniał się różnymi przysmakami,
a nawet i takiemi, które dla dziecka zdrow-
sze i pońtniejsze były, niż kiełbasa i szynka.



W jednym nawet z
nich, niepokaznym,
nieogipsowanym no-
womodnie, ale kryją-
cym złote serca pod
dachem starym i
słomianym, odziano
bohatera naszego w
sukienki, które pozos-
tały po synku tych
państwa, wyprawio-
nym do szkół i ma-
jącym już mundurek.
Ucieszył się brat Le-
on, jak gdyby skarb
jaki wynalazł, gdy
rano, kiedy Tadeuszek jeszcze spał, przy-
niosła służąca od pani parę cieńszych choć już
starych koszulek, całą jeszcze kurteczkę, tro-
chę wykoszlawione, ale jeszcze niezłe trze-
wiczki, pończoszki, nankinowe pluderki i cza-
peczkę.

— Surge puer! — wołał z rumianą i śmie-
jącą się twarzą Reformat, trzymając w ręku
te „Spolia Opima“, które miał towarzysza
swego ustroić. Wprawdzie kurteczka była tro-
chę za ciasna, pluderki za krótkie, gdyż Ta-
deuszek był dorodny i silniej, jak pierwszy
właściciel tych rzeczy, zbudowany, jednako-
woż mógł je wdziąć i wcale inaczej w ubra-
niu tem wyglądał.

Tym sposobem bez żadnego wypadku,
idąc z wolna i bez utrudzenia, przyszli dzie-
siątego dnia do Kalinowa, wielkiej wsi nad
Słuczą, w Starokonstantynowskim powiecie,
gdzie był klasztor XX. Reformatorów, w któ-
rym brat Leon, chociaż braciszek, był figurą
znaczną, bo generalnym konwentu plenipoten-
tem i karmicielem szczupłej i ubogiej groma-
dki, która żyła z jałmużny i tylko na Niepo-
kalane Poczęcie N. Panny, na św. Antoniego,
na Porcyunkulę i na festyn św. Franciszka,
założyciela zakonu, miała cztery większe od-
pusty, które biedną jej kasę zasilaty.

Klasztor ten stał na samym brzegu tej
wsi, mającej dziś kilku właścicieli, opasany
był cały murem i miał duży ogród owocowy,
który aż do Słuczy dosięgał. Znajdowało się
w nim czterech księży mszalnych i dwóch
braciszków. Zostawał on pod rządem gwar-
dyana, łagodnego, ale chorowitego staruszka,
którego prawą ręką i zupełnym we wszyst-
kiem powiernikiem był brat Leon. Ten osta-
tni mieszkał już tu przeszło lat piętnaście;
przez naturalny rozum, dobry humor i jaką
taką znajomość łaciny, zjednał sobie prędko

szacunek kolegów, a skoro użyty był na
kwestarza i po jakimś czasie wrócił z bryką
tak pełną, że ledwie konie stępo iść mogły,
przyjęty został z wiwatami i uniesieniami,
posadzony na pierwszym miejscu przy gwar-
dyanie, za tym stołem, który tak obficie za-
opatrył i odtąd nie stracił tego miejsca w re-
fektarzu; miał sobie powierzona całą spiżar-
nię, całą kasę klasztoru i wszystkie jego in-
teresa. Wśród takiego życia i zajęcia, nabrał
tej znajomości ludzi i umiejętności obchodze-
nia się z nimi, że wszędzie, gdzie się w o-
kolicy pokazał, był gościem pożądanym; że
nikt dla niego i jego braci nie żałował i że
przez cały ten przeciąg czasu nietylko nie
stracił przychylności okolicznych obywateli
i zaufania swoich kolegów, ale owszem, urósł
w jednym i drugim, i on właściwie klaszto-
rem Kalinowskim zarządzał, choć nigdy tego
po sobie nie pokazywał i dumą lub próżno-
ścią żadnemu z przełożonych swych nie na-
rzązał się.

(c. d. n.)



BRATKI.

B A Ś Ń.

Jaś i Staś oniemieli z zachwytu, poczem, jak
zwyczajnie zalęknione dzieci, wybuchnęli głośnym
płaczem.

— Dlaczego płaczecie? — zapytały lilie.

Umilkli na chwilę z zadziwienia, że kwiaty mó-
wić umieją, lecz po chwili na nowo zapłakali jeszcze
gorętszymi łzami.

— Zawołaj siostrę naszą panię — rzekła lanu-
szka do firletki.

Ta poruszyła barwne dzwonki, które wydały
czysty dźwięk. Na jego odgłos ukazała się dziewczica
w bieli i z laseczką czarodziejską w ręku.

— Kochane dzieci — spytała łagodnie — coście
za jedne i skąd przybywacie?

Chłopcy spuściwszy oczy, milczeli. Dopiero o-
śmieleni słodyczą i dobrocią dziewczicy, opowiedzieli
całą przygodę.

— Chodźcie ze mną — rzekła wówczas bogini
— zostaniecie tu póty, póki was bracia nie odszukają
i nie przeproszą.

Mały znużeni drogą i płaczem, poszli chętnie
z boginią do wnętrza pałacu. Tu wszystko ich dzi-
wiło. Ściany i sufit były z wonnych kwiatów, przepla-

tanych gałązkami zieleni, drzwi i okna z różowego szkła. Bogini dała im ślicznych poziomek na wielkich liściach winorośli i świeżego mleka w białych kielichach lilii, potem ułożyła ich do snu na postaniu z niezapominajek i pierwiosnków. A było im tak miło, tak błogo, że wnet zapadli w długi, rozkoszny sen.

W pałacu kryształowym było Jasiowi i Stasiowi bardzo dobrze. Bogini opiekowała się nimi troskliwie, prowadziła ich do lasu i gaju i pokazywała każda roślinkę, objaśniając o jej znaczeniu i pożytku. Chłopcy słuchali chętnie opowiadań dobrej pani i czuli się u niej nader szczęśliwi, gdyby nie tęsknota za domem, rodzicami i braćmi, których tak kochali. Wyborne potrawy i strojne sukienki, oddaliby z ochotą za kęs czarnego chleba i grube płócienne ubranie na ojcowiznie. Nieraz pytali bogini, kiedy bracia ich przybędą.

— Czy wam źle u mnie? — odpowiadała bogini z łagodnym wyrzutem.

Chłopcy milczeli zawstyżeni, poczem biegli do gaju:

— Czy odszukają nas bracia? — pytali dzwonek.

— Nie wiemy — odpowiadały kwiatki.

Powtarzali to samo pytanie stokrótce.

— Odszukają — szeptał kwiatek.

— A kiedy?

— Niewiadomo.

— Powiedz ty piwonio — prosili.

— Oni wcale o was nie myślą, są zadowoleni, że się was pozbyli — odpowiadała złośliwa piwonio.

— Nie wiercie jej — wtrąciła róża — to gadała, która plotki rozsiewa i wszędzie chce przodować, jak zwyczajnie istoty o krótkim rozumie; bracia wasi wkrótce przybędą.

Jaś i Staś uspokojeni słowami róży, oczekiwali niecierpliwie przybycia braci.

Ci tymczasem opuścili byli chatę z szczerem postanowieniem, by do niej bez Jasia i Stasia nie wrócić. Zmrok już zapadał gdy weszli w las. Wieczór był przyjemny; niebo iskrzyło się gwiazdami, a miesiąc jasno świecił; mimo to ogarniało ich przykre uczucie, bali się tej uroczystej ciszy. Przypomnieli sobie, jak im opowiadano, że zachodzą tu nieraz wilki, więc trwoga ich rosła i nie mogli nad nią zapanować.

Postanowili wreszcie przemocować na jakimś drzewie, z braskiem zaś dnia, udać się na dalsze poszukiwania. Wynaleźli też wkrótce stary wysoki dąb, po którego konarach rozłożystych wspięli się zwinnie jak koty. Ułożywszy się na nich, jak można było najwygodniej próbowali usnąć. W tem ujrzeni dwa światła, błyszczące jak pochodnie. To oczy wilka! Mimo bezpiecznego ukrycia, zadrzeli na widok tego drapieżnika. „Kto wie — pomyśleli — czy to nie on pożarł braci,

a poszukiwania nasze może daremne!“ — I zaptakali gorzko.

Wilki zniknęły, zdaleka tylko dochodziło ich jego wycie. Chłopcy poczęli drzeć, gdy najstarszy zerwał się naraz z krzykiem „Coś mi ukąsiło — zawołał — bardzo mię boli, czuję, jak się krew z ucha sączy, to pewnie wiewiórka“. — Noc stawała się coraz chłodniejsza, bracia drżeli się z zimna i trwogi, postanie ich było niewygodne; gałęzie kłuły ich i raniły. Nietoperz przelatując koło nich, zawołał: „To kara za waszych braci“, a puszczyk śmiał się szyderczo. „I myślicie, że ich znajdziecie?“ — pytał.

W takich męczarniach przepędzili bracia noc całą. Skoro świt, wyszli z swego ukrycia i wtedy dopiero czuli znużenie. Członki ich zeszywniały, twarze i ręce podrapane były do krwi. Przekonawszy się, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa, położyli się w trawę i usnęli twardo.

Kiedy się obudzili, słońce już było wysoko na niebie. Zerwali się na równe nogi. Sen ich trochę pokrzepił, natomiast czuli silny głód. Właśnie, gdy myśleli nad tem, jakby go zaspokoić, posypał się z drzewa grad laskowych orzechów. Spojrzeli w górę i zobaczyli pomiędzy gałęziami wiewiórkę.

— Nie dajcie mi wprowadzić tej nocy spać — mówiła — ukąsiłam was za to, ale teraz podzielę się z wami moim śniadaniem.

— Dziękujemy — rzekli chłopcy, zbierając orzechy — a czy nie mogłabyś nam kochana wiewiórko powiedzieć, którą drogą z lasu prowadzi?

— Idźcie prosto przed siebie — rzekła wiewiórka — aż do owej brzeziny, potem skróćcie na prawo, skąd widać zieloną polankę. Tam mieszka dawna moja znajoma pszczoła, zajrzyjcie do niej i pokłońcie się jej ode mnie.

Chłopcy kłaniając się przedewszystkiem wiewiórce, odeszli wskazaną przez nią drogą. Niebawem przybyli na polankę, gdzie już zdaleka widzieli dawną znajomą wiewiórkę. Była to bardzo uprzejma jejmość, w żółtym czepcu i wielkim fartuchu. Przyjęła małych wędrowców z prawdziwie polską gościnnością, zastawiła przed nimi złote jak złoto plastry miodu, a zapraszając do jedzenia, pytała o wiewiórkę. Potem pokazała im swoje gospodarstwo.

— Nie bójcie się — mówiła — moja czeladka jest na łące u roboty, nie wróci tak prędko.

(Ciąg dalszy nastąpi).



PRZYGODY SARENK.

(Ciąg dalszy).

Sarenka wstała i powoli zbliżyła się do dziewczynki.

— Tak, tak — zawołał na siostrę koziołek — za listek sałaty, za słodką jarzynkę gotowaś lizać tę rękę, co cię więzi.

— Kiedy mnie tak coś ciągnie do tej dziewczynki i czuję, że ona mnie także lubi, ona taka dobra dla mnie.

— Co mówisz? dobra! lubi cię? A czemu cię więzi, a dlaczego nie puści cię na wolność?

— Może nie wie, że mi wolność tak miła — rzekła sarenka, spojrzała w oczy dziewczynki i wyczytała w nich tyle serdecznej życzliwości, że przystąpiła do niej z zaufaniem. Tymczasem koziołek patrzył na sarenkę i dziewczynkę chmurnem okiem.

Od tego dnia przywiązywano koziołka do drzewa na dosyć długim sznurku, aby mógł poruszać się swobodnie, ale ile razy chciał pobeżać dalej, tyle razy sznur wstrzymywał jego ruchy. Koziołek wówczas rzucał się, wrzynał, wyrwał kopytkami i różkami ziemię, bił głową o drzewo, aż zmęczony padał na trawę i sapał gniewnie. Między nim a Julkiem zapanaowała głęboka niechęć. Chłopak uparł się i pomimo kilkakrotnych upomnień leśniczego, nie chciał wypuścić koziołka z niewoli, a koziołek, ile razy Julek zbliżał się do niego, spuszczał głowę i stawał w wojowniczej postawie, gotów do walki.

— Kiedy taki zły i niedobry, nie puszcze go na wolność — myślał chłopiec.

— Kiedy taki tyran, nienawidzę go i zawsze bić będę — myślał koziołek.

Tak stały rzeczy, gdy dnia jednego koziołek leżąc, jak zawsze uwiązany pod drzewem, poczuł miłą woń jakąś, rozdał nozdrza i uczył że to wietrzyk zanosi tę miłą woń od gałęzi drzew, zwieszających się nad nim. Spojrzał uważnie na drzewo: była to śliczna, młoda

wierzba, jakiegoś rzadkiego gatunku, wyhodowana troskliwie, która była prawdziwą ozdobą ogrodu. Koziołek podrażniony nęcącą wonią wstał, spojrzął na gałęzie, wspiął się na tylnych nóżkach, chwycił pyszczkiem jedną ze zwieszających się gałązek i tak mu ta gałązka zasmakowała, jak dotąd nic w życiu. — Że też ja dotąd nie zakosztowałem tego drzewka — pomyślał koziołek — jakież ono dobre; widocznie mój chłopczyk nie jest taki zły, kiedy mnie do tego drzewka przywiązuje, abym zjadł ten przysmak, tylko ja głupi, że nie zrozumiałem tego dotąd.

I skakał na drzewko i szarpał gałązki, odrzucał starsze, a wybierał najmłodsze, obłupywał korę, gryzł młodą miazgę i rozkoszował się nieznanym dotąd przysmakiem. W tem usłyszał krzyk i hałas. Ale tak był zajęty zdzieraniem kory i obłamywaniem smacznych gałązek, iż nie zwrócił uwagi na ten krzyk. A tam tymczasem wołano:

— Ach, co za szkoda! — Takie śliczne drzewko! — Niegodziwy kozioł! Złośliwe stworzenie!

I równocześnie uczył dotkliwy ból w krzyżach. To ogrodnik okładał prętem biedne zwierzę, które nie miało pojęcia, za co je karano, a najmniej już nie przeczuwało, że nie wolno mu było gryźć gałązek drzewka, które wedle jego mniemania rosło po to, aby kozy miały co jeść.

Zaczęła się więc istna wojna. Z jednej strony gromadka ludzi z prętami, sznurami, z drugiej koziołek z nastawionymi do uderzenia różkami. Temu i owemu dostało się porządne pchnięcie, aż w końcu zdołano pochwycić koziołka za rogi i poprowadzono go do ciemnej komórki i zamknięto tam na dni kilka. W więzieniu tem Koziołek miał czas rozmyślać do syta nad całą przygodą, ale nie mógł swym



kończącym rozumem pojąć, że jedząc łożynowe prątki, popełnił czyn karygodny. Leżał więc, tłukł głową o mur i nie wiedział, dlaczego zamknięto go do komórki. Wieczorem dopiero przyprowadzono na noc do tej komórki Sarnusie i tyle było jego pociechy, że widywał chociaż wówczas swą siostrzyczkę. Pytał ją, za co go karzą, ale i ona nie umiała mu dać wyjaśnienia.

Po kilku dniach ciężkiego więzienia, wypuszczono znowu koziołka do ogrodu. Julek myślał, że ukarany należycie, będzie już grzeźniejszy i nie będzie obgryzał drzewek, ani robił szkody. Ubrał go w obrożę, przywiązał do niej sznurek i wyprowadził koziołka do ogrodu. Ale w tej chwili spotkali pastuszkę pędzącą indyki. Na widok skaczącego koziołka, indyczęta zerwały się przerażone, stary indyk roztoczył ogon, wydał korale i z głośnym gulgotaniem rzucił się na koziołka. Przestraszony koziołek szarpnął sznurek, wydarł się z rąk Julka, roztratował dwoje młodych indycząt, a uciekając przed pogonią, popędził w tę stronę, gdzie były inspekty. Tu wpadł na szkłem osłoniętą skrzynię, potłukł szyby, podeptał ogrodowiny, potratował wazony, pobiegł w bok, przesadził niski w tym miejscu płotek i popędził prosto w las.

Tymczasem znowu domownicy zbiegli się, jak wówczas, kiedy koziołek zniszczył drzewko. Klucznica załamała ręce nad zdeptanymi indyczętami, chuchała w ich dziobki, chcąc je przywołać do życia i wymyślała na koziołka. Ogrodnik w pierwszej chwili oniemiał z przerażenia. Inspekty zniszczone, śliczne rozsady stratowane, cała jego mozolna praca zmarnowana, szkody ogromne. I to wszystko przez jednego koziołka.

— Dobrze, że uciekł; przecież raz się skończy z temi szkodami.

— Niegodziwy kozioł!

— Nieznośne zwierzę!

— A co? — rzekł leśniczy do Julka — nie mówiłem paniczowi, aby puścił koziołka na wolność? Trzeba to było tyle szkód? Nie można nigdy działać wbrew naturze zwierząt.

— A czyż ja mogłem przypuścić, że to takie złe stworzenie — odparł nawpół z płaczem Julek.

— A cóż on złego zrobił?

— Jeszcze się pan o to pyta? — rzekła klucznica, słysząc rozmowę Julka z leśniczym — spójrz pan do koła, a toż złodziej nie narobiłby tyle szkody, co ta szkarada!

— Przepraszam, on się tu nie wkraadał, on chciał uciec, ale więziliście go, nie puszczaście go na wolność, więc sami jesteście winni.

A czyż to sarna może wiedzieć, które gałązki można jeść, a których nie wolno? Czyż on wie, że po szybach nie wolno chodzić, a czyż to on z lasu prosił się do ogrodu?

Dokończenie nastąpi.

KWIAT PAPROCI

obrazek sceniczny w trzech odsłonach

przez

Szczęsnego Zahajkiewicza.

(Ciąg dalszy).

Scena II.

LUDWIK (wchodzi powoli) Witajcie koledzy!

JAN. Przyszedłeś marudo!

KAROL. Jak się masz?

WŁADYSŁAW. Witaj, witaj!

JAN. Palestra gotowa, czekaliśmy tylko na ciebie.

LUDWIK. Palestra i piłka, albo nudna lekcya — to wam tylko w głowie!

JAN. A tobie wieszczki, skarby, jakieś szczęście nieziemskie i duchy!

LUDWIK. Każdy ma swoje ideały.

JAN. Ale ty z duchami!...

WŁADYSŁAW (ciągnie Jana za rękę i mruga) Ty duchów nie wspominaj, bo może być źle z nami!

WSZYSCY. Jak to? Czemu?

WŁADYSŁAW. Czemu? Czyżście zapomnieli, że jutro właśnie przypada owa sławna noc świętojańska?

LUDWIK. W której paproć kwitnie!

WŁADYSŁAW. Tak. Tylko raz na rok, w noc świętojańską kwitnie paproć. A ktoby ten kwiat paproci dostał, ten poznałby wszystkie skarby pod ziemią ukryte i miałby moc i szczęście, jakiego żaden ze śmiertelnych nie posiada.

KAROL. Wartoby się pokusić!

WŁADYSŁAW. Wiem o tem wszystkim bardzo dobrze, bo mój dziadek raz robił wyprawę po kwiat paproci..

LUDWIK. Jakże to było?

WŁADYSŁAW. Chętnie ci opowiem, chociaż to wszystko dotychczas było tajemnicą!

LUDWIK. Jeśli zażadasz i ja jej nie zdradzę!

WŁADYSŁAW. O, nie potrzeba! Opowiem ci wszystko. Dziadek jeszcze wtedy był tak młody, jak my dzisiaj. Marzył tylko o szczęściu, o królestwie i bogactwach — a że się dowiedział o cudownych własnościach kwiatu paproci, więc postanowił szczęścia spróbować.

LUDWIK (na stronie) Dzielny człowiek!

WŁADYSŁAW. Otóż wybrał się w noc świętojańską do lasu, w którym rosły paprocie. Wiedział o tem dobrze, że jeżeli się nie przestraszy, to wszystko przewycięży...

LUDWIK. Do wielkich rzeczy, wielkiej trzeba odwagi... to naturalne.

WŁADYSŁAW. Nie przerywaj! — Otóż tak się wszystko odbyło: Gdy wszedł do lasu — zrobiło mu się bardzo głupio...

JAN. To nie sztuka!

WŁADYSŁAW. Ale on na to nie zważał, tylko poszukał wzrokiem krzaka, z którego się dymi...

LUDWIK. Co?

WŁADYSŁAW. No — oglądnął się za krzakiem, z którego dym wychodził, obszedł go trzy razy naokoło — wtedy stanął i zawołał: Wieszczko pokaż się!

LUDWIK (z zajęciem) Więc, znalazł krzak, z którego dym wychodził, obszedł go trzy razy i zawołał: Wieszczko, pokaż się!

WŁADYSŁAW. Tak, właśnie tak — i po tych słowach ukazała mu się wieszczka w białej sukni, ze złotą koroną na głowie i berłem w ręku. Ta wieszczka nauczyła mego dziadka, co ma dalej robić i którędy iść, ażeby stanąć przed królem podziemi.

LUDWIK. Wieszczka, mówisz?

WŁADYSŁAW. Tak, wieszczka. Ale jak to się wszystko skończyło, dziadek nie chciał powiedzieć. Wiem tylko tyle, że go jeszcze napastowały różne duchy w postaci żab i węzów, aż wreszcie tak zwany „leśny człowiek“ zaprowadził dziadka do króla podziemi...

LUDWIK. A pocóż tam miał iść?

WŁADYSŁAW. Bo dopiero król podziemi daje nauki i moc, za pomocą której śmiertelnik może zerwać kwiat paproci.

LUDWIK. No i cóż, czy dziadek twój zerwał kwiat paproci?

WŁADYSŁAW. I ja się o to pytałem, ale dziadek mi powiedział: Za nadto jesteś ciekawy mój paniezu. Jeżeli chcesz wiedzieć, jak to się kończy, to sam spróbuj.

LUDWIK. I próbowałeś?

WŁADYSŁAW. Także coś! Włóczyć się nocami po lasach nie głupim! Wolę się wyspać.

LUDWIK (na stronie) Nie miał odwagi, ale ja spróbuję!

(W czasie całego opowiadania Władysława, Jan i Karol trącają się i dają sobie znaki).

WŁADYSŁAW. No, ale teraz czas na piłkę!

JAN i KAROL (razem) Tak, tak! Chodźmy już!

LUDWIK. Darujcie, ale ja wam towarzyszyć nie będę, jestem jakiś nie zdrow... (na stronie) Pójdę się przygotować.

JAN i KAROL (razem) Ty zawsze...

WŁADYSŁAW (daje im znak) Ale cóż znowu? Jeżeli jest chory, to przymuszać go nie możemy!

LUDWIK. Tak, tak, zabawimy się innym razem. — Do widzenia koledzy!

WSZYSCY. Do widzenia, do widzenia!

(Ludwik wychodzi).

[Ciąg dalszy nastąpi]

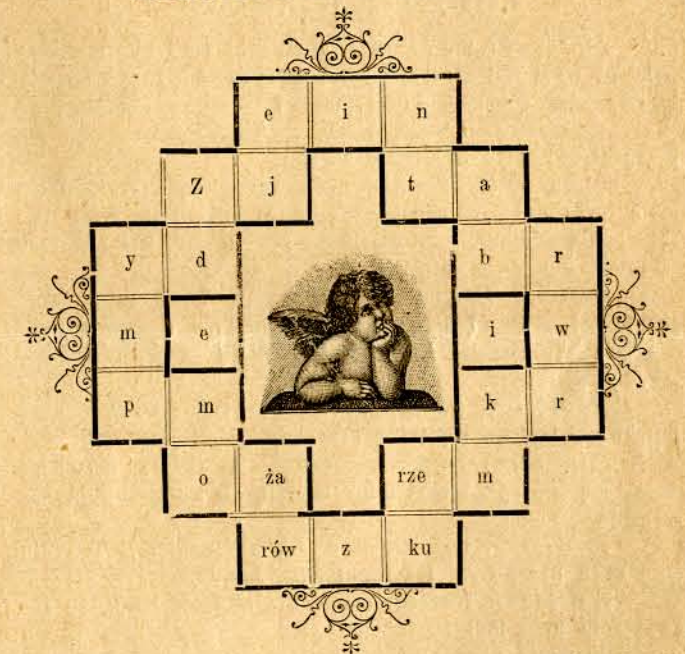


ZAGADKI.

SZARADA.

Pierwsze z piątem — wśród kwiatów w kolory bogate,
Rosną sobie na polu krasne, pyzate,
A jak łyzy brylantowe oko — trzecie czwarte,
Tak czyste krople rosy na nich rozpostarte,
Teraz jeszcze — drugie trzecie
Zawsze w kartach znajdziecie,
Wszystko zaś cukiernicy w swoim sklepie mają,
A dzieci ze smakiem wielkim zajądają.

ŁAMIGŁÓWKA OBRAZKOWA.



Począwszy od Z, postuwając się wciąż w linii łamanej, ale ciągłej, odczytacie z liter umieszczonych w ramce obrazka, pierwsze słowa hymnu narodowego.

Rozwiązanie zagadek zawartych w nrze 17.

Łamigłówna trójkątna: Zamojski, ametyst, Marcin, order, jaja, San, k, i.

Zagadka: Zaraz.

Rozwiązanie zagadek zawartych w nrze 17. nadesłali:

Ludka Blumenthalówna, Mania Skomorowska, Michał Karbowski, M. Czerska, Loluś J. M., Jadwiga, Hela Oppenauerówny, Mania Jaworska, Wanda Trauczyńska, Witold Ajdukiewicz, Stanisław Ciechulski, Anna Trojanowska, Celinka Nahlik, Helena Frankówna, Eugenia i Kubuś Mondscheinowie, Włodzio Dozorców, Wacio i Wisia Mejbaumowie, Tadzio, Włodzio i Zosia Dolańscy, Marya i Jadwisia Wittemberskie, Manusia Konopacka, Zdzisia Kramarzewska, Maryla i Zosia Ajdukiewiczówny, Różia i Anusia z nad Sanu, Stasia i Zygmunt Romaszkanowie, Helena

i Marya Kwapińskie, Wojciech Rubinowicz, Maryńcia Remiszewska, Stasia Stronczakówna, Mania Wypiańska, A. Bełdowska, Julek Szawłowski, Halka Roszkiewiczówna, Stanisław Waśkowski, Marysia Stachiewiczówna, Lunia Brodnicka, Jan Peltz. St. Sulikowski, Izabella Burka, Kazia Dellmanówna, Marynka Prochaska, Janina Rypuszyńska, Anna i Marya Ostermanówny, Jania i Jerzy Rożnowscy, Władzio Bąkowski, Wandulka z N. Targu, Tadek Dobrowolski. Eugenia i Kubuś Mondsheinowie, Stefcia Szankowska, Jaga, Wanda, Zosia i Witółdek Sawiccy, Bronio Drygas, Władzio i Bołcio Hermanowie Mania Moszoro, Waleria Fiałkowska, Zosia Sądecka, Ludka Tychowska.

Nagrodę za rozwiązanie zagadek otrzymali:

Anna Trojanowska, Władzio Bąkowski, Lunia Brodnicka, Stasia i Zygmunt Romaszkanowie.

Korespondencye Redakcyi.

Maryni St. we Lwowie. Pieniązki na budowę szkoły polskiej w Białej otrzymaliśmy, a czy nie mogłabyś w domu jeszcze kogo zachęcić do składania?

Stasiowi W. w Krakowie. A „Mały Światek“ ani przeczuwał, że ty byłeś tak chory.

Annie Beld. Wszyscy nasi czytelnicy i czytelniczki mają teraz dużo do roboty, ale za to będą miłe wakacje!

Maryńci R. w Husiatynie. Nietylko ty, ale i „Mały Światek“ ma dużo zajęcia.

Zdzisi w Stryju. „Mały Światek“ odczuwa twoje cierpienia; żal mu bardzo, że nie możesz biegać wesoło, a cieszy się całym sercem, gdy może ci kiedy zrobić jaką przyjemność.

Maniusi w Uhnowie. Zwykle tym, co nie chcą pracować, trafiają się takie przygody, jak Henrysiowi.

Michasiowi K. w Krakowie. I „Mały Światek“ cieszy się, gdy jego czytelnicy czytają go z zajęciem i korzystają z niego.

Wandzi T. w Samborze. A kto winien? Ten kto tego roku nie posyła tak regularnie, jak dawniej rozwiązań.

Witoldowi. Nagrody dostać nie możesz, bo jedno rozwiązanie było mylne.

Stasiowi C. we Lwowie. Zagadki rozwiązane dobrze. Nagrodę wylosujesz z pewnością.

Izabelle B. w Zbarażu. „Mały Światek“ wie o tem, że jesteś jego gorącą przyjaciółką.

Luni B. w Zbarażu. I my zasyłamy całuski dla was wszystkich trzech, a dla ciebie tak gorąco upragnioną nagrodę.

Wacjowi i Wisi M., Tadziowi, Władziowi i Zosi D. we Lwowie zasyła „Światek“ całuski i zapytuje czy i oni tak, jak Władzio D. posyłają mu całuski, czy też w inny sposób je pakują w list, aby się nie ułotniły.

Marynce P. w Stanisławowie. Zapisaliśmy cię pomiędzy tych, co składają centki na budowę szkoły polskiej w Białej. A wujaszkwowi, co tak serdeczne ukłony zasyła razem z tobą dla „Światełka“, ukłonił się także pięknie, a pamiętaj, aby dyg był zgrabny.

Janince R. w Tarnowie. Wysłaliśmy inną.
Bolesiowi i Władziowi w Rzeszowie. I „Mały Światek“ wam zasyła całuski.

Mani J. we Lwowie. Przyszlij, a gdy zobaczymy twoją zagadkę, wtedy ci odpowiemy.

Jadwisi i Heli O. w Monasterzyskach. Korespondencyę przerwana wskutek wesela siostry, łatwo nawiązać na nowo i smutek zamienić w radość, bo tak stary przyjaciel, którego znałyście już wówczas, gdy jeszcze czytałyście nie umiałyście, zawsze na każdy liścik rad wam odpowie.

Maniusi Cz. w Husiatynie. Tym razem kartę otrzymaliśmy bardzo weześnie.

Władziowi B. w Poznaniu. Chociaż list twój spóźnił się, lecz wylosowałaś nagrodę. Przyszlij dokładny adres, abyśmy ci mogli wysłać książeczkę.

Annie Tr. w Komarnie. A dlaczegoż to „Mały Światek“ miałby się gniewać na ciebie? Zagadkę, którą przysłałaś, umieścić nie możemy, gdyż „Mały Światek“ ma taki wielki szacunek dla „uczonych“, że nie śmiałyby o nich napisać, że „nie są zgodni“, lub że „nie są między sobą szczerymi przyjaciółmi“. Ułóż inną.

Władziowi D. we Lwowie. I owszem, niech twoja siostrzyzeczka list napisze, „Mały Światek“ jej z pewnością odpowie. „Światek“ uśmieł się serdecznie czytając twoje wyjaśnienie, w jaki sposób posyłasz mu ukłony i całusy i już widział ciebie, jak się kłaniaasz napisanemu listowi, jak go całujesz i szybko wsuwasz do koperty, aby całusy nie uciekły. Dobrze, damy ci puszkę, tylko składaj do niej gorliwie pieniązki. Po puszkę zgłoś się do sklepu p. Jaworskiej, gdzie odbierasz „Światek“.

Wandulce w Nowym Targu. „Światek“ zadowolony, gdy i na kilka słów znajdzie miejsce.

Tadziowi D. we Lwowie. Skąd takie myśli? I za co „Światek“ miałby się na ciebie gniewać?

Pamiętkom w Zmysłowie. Pytacie, kiedy „Mały Światek“ będzie obchodził imieniny? W kalendarzu jego imienia nie umieszczono, więc i my nie wiemy.

Odpowiedzieliśmy na listy otrzymane do 5. czerwca. Nazwiska, tych, którzy przysłali rozwiązania zagadek po 5. tym i odpowiedzi na ich listy, umieścimy w przysyłym numerze.

Cennik magazynu pod firmą

KAUCZYŃSKI i OBERSKI

Lwów, ul. Karola Ludwika l. 7.

Filia ul. Halicka l. 6.

Lawn-tenis angielski kompletny, a mianowicie: 2 pary rakiet, 8 piłek i siatka długości 14 metrów, sznury, 2 festony, 4 podtrzymače, skrzynka i broszurka z opisem po zlr. 40, 50, 60 do 100 zlr. — Lawn-tennis wyrobu krajowego po 35 zlr. — Lawn tennis dla dzieci po 25 zlr. — Rakiety para od zlr. 5 do 30.

(Ciąg dalszy nastąpi).

TRESĆ: Po bitwie, wiersz M. Konopnickiej — Tadeusz Bezimienny, J. Korzeniowski. — Bratki, baśń Leonii Raschówny. Przygody sarenek przez A. Lewicką. — Kwiat paproci, obrazek sceniczny w trzech odsłonach, napisał Szezęsny Zahajkiewicz. — Zagadki. — Korespondencye redakcyi. — W dodatku: „Światek“.